

Pamiętki po nas



PIOTR SOMMER

Pamiętki po nas

Wiersz

potrafi spać jak ptaszek na gałązce

— *Julian Strykowski*

Ach spać, spać,
a jednak wciąż widzieć
spod zaciśniętych powiek!

Przed snem

Bo i co to ma opisać: stan świadomości
w danym momencie życia?
Bez danego momentu?
Postoje, rozwój,
jak się nazywam?

Czy pomocny będzie opis mego ciała?
Opis ciała mojego dziecka, jego podobieństwo
do mnie, opis jego podobieństwa do mnie?
Jego słowa?
Czy opisać, to znaczy cytować?
Może także pewne fragmenty z listów dziadka
do mojej babki?
Kilka listów musiało się gdzieś uratować.

Opis pogrzebu, opis ślubu,
starzenia się i odgrzebywania wspomnień —
i z tej bezradności wyrazić na koniec
głęboką wiarę w sztukę,
w słowo pisane?

Jestem notatnikiem

pokłon D. D.

Praca wykonawcza
na zamówienie zleceniodawcy,

którego mimo wszystko usiłuje się pisać
z dużej litery?

Ty — oni, oni — my
(można przez chwilę myśleć
że wybór ma się przed sobą?)

Podwójności
(rozpylić nie ma ich kto,
tak łatwo można by nas wtedy zdmuchnąć?)

Do licha

Byłem przekonany, że interesują mnie prognozy.
Do pewnego stopnia, rzecz jasna.
Na przykład wyprzedzić jakieś wydarzenie
o jakiś czas, ale tak
żeby nie zamykać sobie dostępu
do przewidzenia innych wydarzeń,
a więc mówić konkretnie
a jednocześnie wystarczająco szeroko
by była to prawdziwa przepowiednia.

Miałoby to oczywiście coś wspólnego
z wycuciem tzw. ducha czasu, ale bez tanich mrugnięć
do widza, i jak najmniej ze spektaklu.

Nie ma właściwie powodu, by mówić o tym
w czasie przeszłym. Do przeszłości
należą natomiast sformułowania
w rodzaju „gałązka światła”,
co z tego, że paru ludziom przypadły do gustu?

I cała rzecz
powinna dojść do siebie jakoś od niechcienia,
nieumyślnie, przynajmniej takie
powinno być wrażenie.
Trud budzi dzisiaj mieszane uczucia.

Ale dlaczego przyczepiłem się
do tej gałązki światła?

Jak zostałem humorystą

I oto okazuje się
że ten kawałek biurka
przede mną
to moja żona —
zresztą byłoby lepiej
gdybym używał słowa „ona”,
„kobieta”, może nawet
„dziewczyna”, mówią;

„żona” ma taką dziwną
etymologię i
robi z człowieka przedmiot.
Jesteśmy na to bardzo
uczuleni, mówią.

Wierzę im, dlaczego
miałbym im nie wierzyć?

Wracam do żony, wycieram ją
z kurzu szmatką
i chciałbym się o nią oprzeć
łokciem, uprzedmiotować ją
do końca, niechby przyznała
że jest biurkiem, a ja
miałbym w dyskusji
nowy dowód rzeczowy.

Wiersz o dewaluacji słowa „rewolucja”

W takim wierszu to słowo powinno zostać użyte tylko raz, w tytule
a cała reszta utworu
mogłaby być o wszystkim innym
tylko nie o nim.

Wyrazy można łączyć z wyrazami
tak, aby w drodze ewolucji powstały
zupełnie nowe stosunki wyrazów.
Zawsze pasjonowała mnie
subtelna różnica między „a” a „i”
oraz jak, wbrew pozorom,
te dwa spójniki wcale nie są wymienne.
Pytałem o to paru znajomych
uczniów szkoły średniej, ale mówią
że od urodzenia, to znaczy
od pewnego czasu zaledwie,
wszystkie wyjątki i odchylenia składni,
o których mówi nawet obowiązujący podręcznik,
upodobniają się z wolna
do ich własnych rodziców.
Nie chcą mi tego objaśnić szerzej,
to sekret, mówią, i wychodzą na przerwę,
a ja zostaję z moją niepewnością, wspominając wstyd,
jaki wywołałem na kilku twarzach.

Zaglądam do podręcznika, okazuje się
że: *wczoraj o wpół do siódmej*
pani Wilson gotowała obiad
dr Wilson badał pewnego pacjenta,
Susan pisała wypracowanie,
a Joan rozmawiała przez telefon z Dorą.
Czyli jednak podręcznik

nie jest taki zły: wyraża jednoczesność
świata, jest nowoczesny.

Ta myśl znów odgradza mnie
od uczniów, którzy by chcieli,
żeby wszystko było inaczej,
tak samo jak w życiu.
Teraz będziemy powtarzać, mówię,
podczas gdy od sufitu, który jest podłogą
dla tych, co zakładają dekoracje
na kolejną rocznicę Wielkiego Października,
dobiega salwa gwoździ.
Zaczęło się, myślę, i próbuję
przypomnieć sobie wiadomości
nabyte na poligonie pod Morągiem.
Wraz z kilkoma uczniami,
których udaje mi się zachęcić nadzieją sławy
jednostronnie wypowiadamy szkole układ
wieczystego milczenia.
Ale oto dzwonek rozlega się na korytarzu
jak gdyby nigdy nic. Moi uczniowie
przypominają sobie, że chcą się dostać
na studia. I to jest
koniec wiersza.

Oddech Majakowskiego

Żona mówi, że wszystko jest rezultatem epoki:
słowa, ilość słów, ich porządek, dłuższe
lub krótsze dni; zresztą nie pamiętam,
może to ja tak jej powiedziałem; jak gdyby
wiatr historii smagał, to znów szczypał
twarz.

Właściwie czemu „nie można” pisać o poezji?
Poezja to przecież nie słowa.
I trudno sobie wyobrazić, żeby epoka
była rezultatem słów, a jednak! Ponadto
jeśli mówi to żona, słucham jej
uważniej niż paru panów wrywających
włosy z pewnej potężnej dziewiętnasto-
wiecznej brody, która wkrótce
wyłysieje doszczętnie.

Właściwie, Bogiem a prawdą,
co pieniądze i ekonomia mają wspólnego
z myślą? Wiersze
są dziś tak ciasne
jakby za wszelką cenę
chciały się zmieścić w dniach;
może zresztą odwrotnie, to już trwa
ponad trzydzieści lat i trochę
nie pamiętam; nawet Majakowski
mógłby dostać zadyszki.

Z tego wszystkiego młodzież
gotowa znów uwierzyć w proste
ciepłe uczucia, zielone krajobrazy i
zielone gąski. Tymczasem
naukowa kosmetyka nie będzie stać
w miejscu. Wyniki się ogłosi, kosmyki
wykosi, że wcale nie będą chciały sterceć
w kosmos. No klops, klops, klops.

Sprawozdanie z meczu piłki nożnej

*Kto obok ma ojczyznę
ten jest spokojny*

— *Wiaczesław Kuprianow*

Czy on też oglądał tamten mecz
we Frankfurcie nad Menem, pierwszy
poważny mecz sezonu? Bilet by mu
pewnie ktoś załatwił. Czy siedział
choć przed telewizorem i, jak ja
tutaj, słyszał w przerwie meczu
wiadomość, że go już tam nie ma?

Jak się wtedy czuł, jeśli oglądał,
kim już nie był, kim nie był jeszcze?
Pytam dziś przyjaciela, co o tym
myśli; nie mieli chyba, mówi,
innego wyjścia. Mnie o to samo
pytają uczniowie w szkole; rację
najprawdopodobniej mają publicyści —

w końcu odległości nie są już
tak wielkie; ziemia jest wszędzie
wystarczająco szara — tylko ta cisza
wokół jego domu prześladowuje mnie,
ciasny krąg powietrza wokół jego ciała.
Toteż wracam do meczu, do
umownego placu gry, do boiska,
spoza którego patrzę. Niewiele
rozumiem z gry, przepisów nie znam.
Sam sobie zadaję pytania. Które
z nich wolno przemilczeć, na jakie
odpowiedzieć do końca? Zima; moje okna
zamknięte na wylot. Tu, w szkole,
źle słysząc sędziowskie gwizdki.

(luty 1974)

Tułacze

Kiedy wyjeżdżają, zostają
ich uczniowie. Bardziej zdolni
i mniej. Potem się okazuje,
że wiele od tego zależy.
Ale nie chodzi o potem
tylko o to przedtem,
nim do potem dojdzie.

To pewne

Młodzi prowincjusze mają literackie nadzieje.
Będą zwolennikami pierwszej ciepłej liryki,
potem trochę bardziej gorzkiej, ale przez to dojrzałej.
Będą zdania, że liryka służy zrozumieniu
siebie i świata, że udoskonala.
Na awangardę będą patrzeć podejrzliwie
i z pewną wyższością, co znajdzie wyraz
w ich skromności, solidnym lirycznym rzemiośle
i świadomym ograniczeniu zamierzeń
(to jest pewne, lepiej skromnie, ale rzetelnie).

Będą jednak pełni entuzjazmu.
I optymizmu.
Bo chodzi o sprawy poważne.
Oddaleni od kłótni stolicy
wiedzą, co o tym myśleć.
Na podorędziu mają zawsze krajobrazy:
las, rzekę, skłębione płaty chmur,
czy nawet na wpół żarty przez czas drewniany parkan.

Są pewnie miejsca, gdzie po prostu
drukują się to, co jest dobre.
Ale tę kwestię można pominąć i przejść na pole
przez dziurę w płocie, najlepiej jesiennym wieczorem,
popatrzeć na niebo albo drzewa,
na cokolwiek,
toż wszystko przypomina o nietrwałości!

Pierwsze zdanie

Cztery lata temu w Ustce
szliśmy w czwórkę po piasku i
zaczęłam pisać moje drugie
opowiadanie (pierwsze było
na temat pewnej wyimaginowanej
i dotkliwej śmierci, bardzo krótkie
i nieudane). Powiedziałem
Maćkowi pierwsze zdanie:
„Trzy lata czekaliśmy, zanim

rozpatrzono nasze podania
o pozwolenie opuszczenia plaży”.
Powiedział, że to dobry początek.
Nie pamiętam, co było dalej
i czy było jakies dalej, chyba nie.

Mysle, że powiedziałem to po prostu
dlatego, że sądziłem że to
efektywne, niezależnie od naszego
ulubionego rodzaju humoru
w owym czasie (dowcip
gotów był pożreć wszystko).

Interesuje mnie, czy była to
najprawdziwsza fikcja i czy
Maciek rzeczywiście sądził, że ja
to opowiadanie napiszę oraz
czy było to naprawdę efektywne.

Bo dlaczego nigdy mnie potem
nie spytał: „Co z twoim opowiadaniem?”
I: „Czy masz już drugie zdanie?” To
mogłoby mnie zachęcić do pracy,
bo nigdy nie lubiłem
wystawiać ludzi do wiatru.
I proszę zważyć, że miałem
znakomite warunki — wszystko
na miejscu: plaża, wiatr,
papier na podanie i tysiące
ludzi, jak ja, czekających gnuśnie
na jakąś wiążącą decyzję.

Czym mógłby być

Wiersz musi być tym, czym jest.
Nie powinien udawać poematu
ani zastępcy naczelnika powiatu,
ani sklepowej, która ma okres.
Nie powinien wyrażać ducha czasu
ani go nie wyrażać, nie powinien
być dokumentem, ani nim nie być.
(Od czasu do czasu mógłby zapytać.)
Powinien umieć sobie wyobrazić
czym mógłby być, gdyby nie to
czy tamto.

Dwa wiersze dla Suchego

Biurko

Z domu wychodzę tylko w sprawach ważnych.
— J. uśmiecha się i mówi: „Ależ ty jesteś śmieszny!”
Nazajutrz spotyka mnie znajomy:
„Podobno całą noc rozmawiał pan o demokracji,
myślałem, że jest pan poważniejszy”.
Czuję się jeszcze młody.

Za granicą świat jest inny,
tam mówi się o ludzkości, myśli
o polskości i ważne są rezultaty działalności.
„Wsiadasz bracie do samochodu, z tyłu
żona i dziecko, bo tam inaczej nie można”.

Mój przyjaciel siedzi przy osobnym biurku
więc ma spory margines,
i niczego nie firmuje;
bo on sobą tworzy takie biurko w biurku.
I „zawsze mogę zrezygnować” mówi,
ale J. siedzi cicho i wcale się nie uśmiecha. —

I na przykład dziś rano chciałem kupić
homogenizowany serek dla dziecka.
Zająłem kolejkę i poszedłem do kiosku po gazetę.
Zaglądam do środka, a tam
jego mały synek schodzi na ład i mówi:
„Podoba mi się w tej Polsce”.

Przywitanie, powrót

Andrzej odlatuje rano.
Nigdy nie przypuszczałem, że Chicago
może mi być tak bliskie.
To są jednak kolosalne odległości!
Mówi, że jeśli go kocham, przyjadę nawet późno
Samolot nie samolot,
odległości są takie same.

Więc biorę taksówkę i jadę.
Swoją drogą jak to jest z tym kochaniem
się przyjaciół, i ilu ich można
mieć w końcu.
Najbardziej drażni mnie chyba ten brak
synchronizacji urządzeń świetlnych
na skrzyżowaniach. Zapala się zielone,
a trochę dalej czerwone, trzeba stawać co chwila.
Jest tylko kilka miejsc

gdzie chce się jeździć,
a nawet iść.

Po drodze wiatr popycha coraz mocniej.
Przez te dwa lata dostanę pewnie
dwa trzy listy, przestanę się wstydzić
następnych kilku słów.
Jeśli mnie kochasz, przyjedziesz o dziesiątej,
jakoś tak to brzmiało. Czuję zapach benzyny,
a przez podwójną szybę widać w autobusie
plakat przedstawiający kota, tuż za kierowcą.
Za parę lat mógłbym być kimś innym.

Jeszcze kilka kilometrów, drzwi, przywitanie
i znów wyjdę na ulicę.
Zacznę list, który w drodze do domu zapomnę,
zamknę drzwi, i — proszę cię
nie bierz już żadnej podobnej pracy na drugi raz.

Czasem tak

Po lekturze niektórych młodych autorów
ja również chciałbym być autorem
i pisać utwory.
Teraz akurat myślę o J. G. —
jego radosnych rymach, filmowych zdaniach
bohaterach jego wierszy, prawdziwych
i wymyślonych. Bo oczywiście
wiersze też mają swoich bohaterów,
czasem nawet niezbyt
sympatycznych. Z prawdziwych
pamiętam na przykład
Ezrę Pounda, którego nazwisko
pada w jednym z tytułów,
albo ów Śnieg z połowy listopada
który, jak sądzi autor, zanim stopniał,
przykrył wszelkie zło.
Z nieprawdziwych Kirillow, samobójca
a jednak budowniczy, czy ów
profesor, jak mu tam,
siedemdziesięcioletni już dzisiaj uczony.

A ja, o czym ja pisałbym wiersze?
Musiałbym się zastanowić,
bo właściwie na ogół mam ich dość.
Pytam żonę, ale powtarza po mnie
„o czym?”, jakby była nieobecna.
I za chwilę dodaje: „Ale jeśli
powiem ci o czym, podpiszesz
że napisaliśmy oboje, dobrze?”
Mam jej, mówi, przypominać
o tym na przyszłość, bo czasem
człowiek rzeczywiście może mieć jakiś pomysł,
tylko że to jest przeważnie bardzo ulotne.

Stare drewniaki Radości

„Co to się znowu dzieje?” —
to było pytanie
nie do mnie,
nie do mojej żony, nie
do dziecka, które spało już
od około dwóch godzin,
choć wypowiadając je, teściowa
na mnie skierowała wzrok —
to było pytanie do świata.

Od dawna nie mówiłem nic,
ale tym razem świat
przemówił przeze mnie.
Powiedział: „To ja,
Jacek Olszanka, mąż waszej córki,
zjąłem fajerkę,
włożyłem do pieca
mój stary but”, po czym
wyszedłem z kuchni,
by po omacku dotrzeć
do pokoju z żoną i dzieckiem,
odłożyć książkę
i jeszcze raz skarcić was stamtąd
moją najgłębszą
ciszą.

Jeszcze trochę wysiłku

Krzysiovi F.

Mógłby teraz przejść do PAN-u
ale mówi, że w Świerku
ma więcej luzu: godzina
pracy, potem godzina
dla siebie; może się naprawdę
uczyć; poza tym komputer lepszy.

Ja przez miesiąc w Londynie
przetłumaczyłem kilkadziesiąt wierszy
za kantorkiem Gresham Hotel,
na Bloomsbury Street, gdzie
byłem recepcjonistą,
więc wiem, o jaką pracę mu chodzi;

będziemy się wszyscy doksztalcać,
wychodzić ze wspólnego pokoju
do ubikacji z książką
i ołówkiem, zakreślać, zapamiętywać
i wracać tak, żeby jednak szef
nie widział; aż zostaniemy
jednym z najbardziej wykształconych
narodów w środkowej Europie.

Pośmiertny

Japie i Cumce

Zmarł Moczarski.
Krzysiek powinien napisać o tym jakiś strzęp
wiersza, bo usiłował być blisko
(zresztą każdy z nas), ale
w głowie ma wodę,
którą musi założyć w kuchni
przed zimą, zanim urodzi się dziecko,
etat, który sobie załatwia,
masę innych spraw.
Czeka go przeprowadzka
w inny świat, więc wiersz
o ofierze i oprawcach, chociaż tak długo trwa,
chyba by po prostu
nie pasował do sytuacji.

Między przystankiem a domem

Pawłowi i Helenie

Idziesz odwiedzić przyjaciela po pokazie filmów,
twoja żona została w domu sama,
twoja matka, o której zaczynasz myśleć
po wyjściu z autobusu, jest w innym mieście,
chora, wczoraj dostała od niej telegram;
między przystankiem autobusu linii 140-bis
a domem przyjaciela (czyli: przechodząc obok
zamkniętego sklepu, kupując papierosy
w kiosku przed domem oraz jeszcze w windzie),
zanim wejdiesz do mieszkania i zaczniesz
tę wieczorną konwersację z nim i jego żoną, jesteś sam;
twoje dziecko wyjechało wczoraj
do rodziców twojej żony, jest samo,
bez ciebie i bez swojej matki.
Myślisz o tym wszystkim zanim otworzą się drzwi,
gdy śnieg prószy ci w twarz, chociaż jest
trzecia dekada marca, przemierzając szybko
ten krótki dystans między przystankiem a domem.
Nagle zauważasz tę codzienną samotność, jakby wbrew sobie
i wbrew tym, o których myślisz.

List do Jerzego Ficowskiego

Wiesz, wtedy (choć piszę to
jeszcze teraz), drugiego maja
1975 roku, kiedy zszedłem
ze schodów, a potem jeszcze

niżej, w podziemie dworca
i znowu poczułem ten smród

tysięcy papierosów wypalonych
tutaj tego dnia (to znaczy
dzisiaj) i zdałem sobie sprawę
że nic stąd nie wywietrzeje
nigdy, bo nie ma gdzie,
choćby nie wiem ile szlauchów

oblewało peron, bo za trudno,
za daleko do powietrza
twojego domu (skąd mi się
to wzięło, przecież już
nie palisz), do twoich drzwi,
do twoich wszystkich

listów (przecież nawet nie
do mnie) w twoje strony
świata, do twojej jednoznacznej
ciszy, postanowiłem ci o tym
napisać, jakbym miał
w gardle toból, który

mi trudno otworzyć
od tylu lat, jak dziecku
kiedy otwiera pierwsze
słowa, najostatniejszy krajobraz,
którego ktoś je nauczył,
tylko nie wie kto.

Białe pieczywo

Torsje po razowym chlebie
dwa krwiaki białek, brązowe bratki żrenic
Gorączkowe podziały testamenty dla kogo skąd
(co tu dzielić) Jeśli istnieje niebo
będzie gdzieś na samej górze
i będą zawsze sucharki, białe pieczywo

Coraz bardziej

Życie coraz bardziej składa się z drobiazgów.
Wydawało się, że jest — albo naprawdę było — inaczej:
same sprawy ważne, gorycz prawdziwych porażek.

Z drobiazgów, których jednak nie ma
bo albo zawodzą oczy,
albo nie chcemy być aż tak drobiazgowi —
niemniej trzeba by jakoś je zobaczyć,
nie mówiąc o tym, że trzeba by też zapamiętać.

Tymczasem tym, których nie lubimy
zadajemy kłopotliwe pytania
żeby przestali być
tak bardzo pewni siebie

a tym, których lubimy
kiwamy potwierdzająco,
że niby: z nimi, choćby nie wiem co.

List z Kijowa

I wiesz? Gdy na nalepce
od butelki ujrzałem nagle
dziesięć zamazanych gwiazd
(zamiast normalnie, pięciu
gwiazdek), co nawet
nie zabłysły żadnym
sensownym światłem oraz

śluchając słów Rubaszki
(na litość boską, czy choć
dobrze zapamiętałem
to nazwisko) przypominanych
gorączkowo nocą, kiedy schodziłem
ze schodów (trzy razy
gorsza była zresztą

wspinaczka na to trzynaste
piętro; i znów zaczynam
cię zanudzać topografią
terenu i okoliczności; czy
uda mi się znowu to przełamać —
pewnie bym wtedy został
najbardziej zwichrowanym

poetą świata!), bo widzisz
tracę już rachubę i mówię
o wszystkim (naprawdę
nie wiem, jak mam nie być
taki detaliczny), bo i te
piętra, głosy, pieśni, pół
oficjalne nazwiska... Więc
kiedy zobaczyłem te dziesięć
gwiazd (zresztą być może
dziewięć, co chociaż by nie było
takie symetryczne)
i przypomniałem sobie
o Azerbejdżanach w mojej

starej szkole (i o rozbitym w proch
kirkucie tuż za miastem)
i wszystkich małych
narodach świata (i patrz,
obiecowałem, że przez chwilę

nie będę o tym myśleć) —
to wtedy, co się wtedy stało?

Czy coś zrobiłem, zapłakałem,
krzyknąłem w miasto?
Czy może tylko dalej
piłem wódkę, jak gdybym pił
od wielu lat, słuchając szeptem
wymienianych nazwisk, głosów,
pieśni, przypominając sobie

twoją twarz i to, co miałem
ci powiedzieć na początku
(„cyplonok toże choczet żyt’¹”
śpiewał Rubaszkin cały czas),
nie zdając sobie więcej sprawy
co dokładnie, ani jak żarliwie
do ciebie mówię.

Ościenność

Zaczynasz używać
tych samych odległości
między wyrazami.
Jestem z tego dumny,
okazuje się, że miałem
na coś wpływ.

W domu jak zawsze:
ciepłe ale nieprzenikliwe ściany
nie przyjmą od nas nic,
sprzęty podstępnie
dają się dotykać.

Więc śpij
spokojnie i trochę
mów przez sen.

Okruchy

Czy to rodzina, ten kruchy nieśmiertelnik
skruszony ręką dziecka. Czy to mój głos.
Ile lat stoi na stole okryty kurzem,
ile mu nie potrzeba wody? Trzeba by
jakoś umrzeć, ale się boi
zostawić ranę nieobecności
choć oswaja ją od lat.

¹cyplonok toże choczet żyt’ (ros.) — kurczak też chce żyć. [przypis edytorski]

Domowy

Kobieta zwleka się z łóżka.
Wiesz, powinnam chyba zrobić sobie obiad
Ale nie zdąża
i umiera między
dwoma gestami: swojej matki
i dziecka, nie dowiadując się
na zawsze, kim, czyja
była bardziej.

Mówi syn

Myśli, że odchodzę, a to
jakby uchodziła krew
przez ściśnięte palce. Krew
krwi. Tak myśli jednak
choć cały czas stoję naprzeciwko
i przegłębiamy się w sobie.
Ale prawdziwym lustrem
jestem ja, tak zbity w szkło
że prawdziwsza tylko kropla
co po nim spływa.
I kopiuję jej światło i tamtą
krew. Mógłbym tak odbić
wszystko, prócz kilku słów,
czego mi nigdy nie wybaczy.

Tylko o 25, 30 lat

Ł. i M.

Dopóki można, zatrzymujemy ich
przy sobie. Wiemy, że muszą
odejść albo że musimy ich zostawić.
A jednak będą zdzierać z siebie
nasze ślady przez lata.

Kiedy nadchodzi tamto,
jesteśmy już właściwie gotowi.
Nie wiemy tylko, czy do końca
zachować pozory własnego wyboru —
że niby tak, kiedy odejdą
będzie lepiej,

czy też upierać się do ostatniej
krwi, jakbyśmy mieli
coś na własność, a oni
mogli w ten sposób
zapamiętać nas bardziej.

Pamiętki po nas

I te kobiety, pokazujące nam
codziennie, jak mali byliśmy.
Przypominające bez ustanku —

aż wywołają w nas chociaż cień
uśmiechu, lekki uśmiech
w przestrzeń. Jakby nie było

ani ich, ani tych szmatek, spranych
od pokazywania aż do nikłej siateczki
pierwszych dni,
w które nas wtedy zawijały.

Dwa wiersze dla Młodego

Rower

Popatrz, to drzewo a to słup
to liście i gałęzie a to druty
i powtórz po mnie, zapamiętaj
bo już ciemnieje świat

Tu biegnie pies a tu samochód
tu szosa a tu jeszcze dróżka wydeptana
z okien nas coraz bledziej widać
bo już ciemnieje świat

A oni jadą na rowerze
ojciec i syn przed nim w koszyku
wskazuje palcem każde słowo
i palcem sprawdza świat

Ktoś ich popędza
nikt nie popędza
wciąż jeszcze widać
mało co widać
bo już ciemnieje świat

To życie, które śpi

To życie, które śpi przede mną
trzymając w ręku (we śnie)
jakiś przypadkowy przedmiot,
przedmiot snu, który mu dałem
na uspokojenie (w ciągu) dnia,
czy do zabawy (wszystko jedno
co), żeby mi dało spokój —

to małe życie tak łomocze
całą krwią i wypiera mnie
na zewnątrz, wyjmując sobie
ze mnie taki biały szept,
bielutki, jak gdybym miał
pokochać własną nieobecność;

Przenosiciel

Czy jest takie słowo?
Właśnie tak.
Taki okropnie zabiegany
facet, co to raz tu
a raz tam, i nawet sam
nie widzi, zapomina
że naprawdę jest
między, czyli nigdzie.

Przenosi słowa (z ust — na usta)
gesty (z matki i kilku przyjaciół
na dziecko), i własne dziecko
(z domu — pod miasto),
właściwie przewozi
na czyste powietrze;

ale one wszystkie
chcą się gdzieś zatrzymać,
nie mogą być wiecznym
obiektem przenoszenia;
słowa zostają za drzwiami
cudzych ust, gesty
zapisują w powietrzu
obce ręce, a dziecko
pytane w szkole
o zawód ojca
niepewnie mówi „przenosiciel”.

Spóźniony list

Och, dziadku César,
dlaczego nie poczekałeś na mnie?
Wystarczyłoby jedno spojrzenie dziecka
i wiedziałbym dzisiaj, że mogę, że mam prawo
przypominać sobie twoją twarz, bo ją widziałem naprawdę
Zdjęcia są stare i martwe,
a opowiadania matki coraz rzadsze.
Wystarczyłoby jedno zdanie,
powtórzone by mi je, na pewno.

Wiesz, wuj Marcel, kiedy tam byłem
pierwszy raz, narysował mi całe drzewo genealogiczne
(ja też chciałem mu narysować,

ale było mi wstyd: mama, babcia —
babcię zresztą miał, bo była twoją żoną —
ojciec, i Chaim, i Fajga, jego rodzice,
o których, podobnie jak o nim, nic nie wiem do dziś
— i to wszystko), a ja patrzyłem i patrzyłem
zdziwiony, że znalazłem się na tej
dużej kartce, tuż pod mamą
i że w jednej rodzinie
może być tyle ludzi.

Ty byłeś oczywiście o wiele wyżej i głębiej.
Wszyscy mówili o tobie
z szacunkiem i miłością, i czułem
że miałeś artystyczną duszę,
i byłem dumny.

Myszę, że w porządnej francuskiej rodzinie
w tamtych czasach ożenić się
z Żydówką też nie było łatwo,
i to w dodatku w kraju
z którego został tylko język
(choć przyjaciel mówi
że tylko forma „pan” i ganki).
Mama opowiadała, że były dwie
uroczystości ślubne — cywilny
nie był chyba jeszcze zbyt popularny? —
ach te kompromisy dla wspólnego dobra
i niezadrażniania stosunków, co?
A jak wróciłeś z wojny to podobno
kazałeś babci zrobić jajecznicę z dwudziestu jaj.
Zawsze mi to okropnie imponowało.

Myszę, dlaczego ty,
a nie ten drugi, ojciec ojca,
o którym nie wiem nic zupełnie —
nie wiem, czy można o kimkolwiek
tak bardzo nic nie wiedzieć — ponad to
że żył, miał żonę, imię i nazwisko,
i że musiał coś robić.
A więc byłoby nawet łatwiej
pisać o nim, do niego, niż do ciebie.
Mógłbym się stworzyć, wybudować od początku.
To by dopiero były emocje!

Czy Łódź wtedy też była taka ponura?
Wziąłbym cię oczywiście tutaj, do Otwocka,
i pokazał dokładnie to miejsce
gdzie nie ma nic do pokazania, opowiedział.
Może i stąd się wszystko wzięło: nie było gdzie
iść, co oglądać, trzeba było siedzieć po domach,
co najwyżej patrzeć przez okno —
pięćdziesięcio-, sześćdziesięcioletnie drewniaki, jedno dwa
piętra trzeszczących schodów, na podwórkach otwarte
doły i zdechłe koty, i piłka, która zawsze wpada dzieciom
do śmieci, trochę obdartych sosen, kałuże, albo ciemne
wyschnięte plamy po kałużach, bielizna na sznurku. To
wszystko — przez okno, a w środku

kaflowy piec, łóżko, kwadrat piwnicy na podłodze i zbrązowałe pasmo słońca, co usiadło pod szafą; kurz.

Moi tutaj przyjaciele nic o tobie nie wiedzą,
a może i wspomniałem kiedyś
o legii honorowej, wąsatym *lieutenant*, Verdun i Sommie,
ale to najwyżej raz i pewnie tylko jednemu albo dwóm,
nie pamiętam komu.
A jeśli nawet coś z tego zapamiętali,
pewnie myślą, że chciałem się pochwalić, kto wie?
A może naprawdę to jest dorabianie sobie genealogii?

Najbardziej to mi potem było wstyd
że nie nauczyłem się twojego języka.
Może mama zaczęła mnie uczyć za wcześnie,
kiedy wołałem wziąć przylepkę
i iść na podwórko (czy tak już musi zostać?
Colette raz powiedziała, że mógłbym mówić
całkiem dobrze). Na podwórku dzieci
też mi o tym przypominały, wołały
piot-huż, piot-huż, jakby wiedziały
i koniecznie chciały się tym ze mną podzielić,
że przyjechałeś z Francji. Ale wkrótce
zrozumiałem, że szło o inny kraj,
to znaczy o innego dziadka.
(Nie wiem, jak to się stało, że one
wiedziały wtedy o tym lepiej ode mnie.)
Ale nie chcę winić matki, sam
zmarnowałem jeszcze niejedną okazję.

Och, dziadku César,
dlaczego nie poczekałeś na mnie?
Twój prawnuk nie ma jeszcze trzech lat,
a jednak gdybym teraz umarł, chyba by
pamiętał już coś ze mnie.
Więc wystarczyłoby chociaż kilka lat
życia więcej, zupełnie nowy świat
którego musiałbyś się znowu uczyć,
te dziesięć lat, powiedzmy: koniec wojny,
Stalin, a w domu
zięć, który nie skończył bodaj czterech klas
w chederze, kuśnierz, i wreszcie ja,
w siedem lat po twojej śmierci.
o wykształceniu ojca mama wołała mi
nie mówić, było jej wstyd,
przed tobą wstyd być może byłby jeszcze większy.
Babcia nie lubiła go podobno,
ja nie mam stosunku, nie wiem
czy tylko sami ludzie ponoszą winę
za nieszczęśliwe małżeństwa.
(Pamiętam, raz mi zrobił kogel-mogel,
ale obiecał dać, gdy powiem, że wolę go od matki,
nie wiem, czy ona to pamięta,
ja pamiętam ten wstyd.)

Jest maj, parę dni temu spadły
pierwsze większe deszcze.

I nawet każda kropla ma swoją prehistorię,
która pozwala jej przybrać własny kształt.
Wiesz, czasem mi się zdaje, że jestem
zbitką gestów, które mnie przekonały,
słów, które jakimś cudem zapamiętałem
i czym prędzej schowałem do ręki
żeby nie uciekły, i paru milczeń
których nie umiem.

Po co ja to robię, no właśnie, po co?
W gruncie rzeczy nie ma mnie
dla ciebie jeszcze bardziej niż ciebie dla mnie,
choć ja przynajmniej wiem, że byłeś
i że umarłeś.
Po co ja piszę ten list, ten wiersz, to czy ja wiem co,
który chce mnie otworzyć z kilku stron
jednocześnie. Być może on powinien
znaleźć sobie jeszcze tylko jakiś naturalny koniec
i nie marudzić dłużej. Zawiesić cię w ramce
wspomnień na ścianie,
jako twój domniemany portret
(razem z tą jajecznicą z dwudziestu jaj, powiedzmy,
czy inną wyłudzoną historyjką),
ale on nie chce, on chce przez chwilę jeszcze
kontynuować temat, jakbyś naprawdę był
tylko literackim pretekstem, na tyle
pojemnym, by mówić o wszystkim.

Wiesz, przejeżdżałem dzisiaj
obok babci, to znaczy obok was
ja (wybacz, ale dopiero teraz
uzmysłowiłem sobie, że jeśli groby
nie zostały pomyłone, jesteście tam razem),
było już ciemno, wziąłem taksówkę,
żeby zdążyć na sen dziecka,
którego nie widziałem tydzień.
Jechałem wzdłuż muru
oddzielającego martwych od żywych
i nie wiedziałem, czy wierzyć
w życie pozagrobowe, czy nie.
Czy to na pewno nasze dzieci
przenoszą nas dalej? Jakiś ślad
powinien zostać odcisnięty,
choć pewnie można by zapytać — po co.
I co to znaczy być wiernym sobie?

Za chwilę mam lekcję konwersacji
i powinienem wymyślić temat do rozmowy,
bo to już czerwiec i uczniowie
chcą się dostać na studia.
Czy ty lubiłeś prywatne lekcje, te panienki
przychodzące do ciebie do domu — teraz
zdaje się ulica Więckowskiego, a wtedy jak? —
Czy miałaś dla nich swój prawdziwy uśmiech, czy lekcje
to byłeś naprawdę ty?

Co za traf, że robię to samo!
(czy ty też musiałeś to robić?)
Owszem, uśmiecham się,
żeby nie wyszło całkiem źle, i zbieram, zbieram
wszystkie preteksty do wyduszania słów,
powody do rozmowy, na ciężkie chwile ciszy.
Pamiętam, że pisałem na ten temat wiersz,
który nie wyszedł. Ostatnio —
ale już spieszę się trochę — piszę
tylko wtedy, kiedy powinno wyjść,
albo gdy nie wiem, co wyjdzie, z ciekawości.
Ale czy ja naprawdę jestem mną?

I patrz, tyle myślałem o tym,
a to się samo kończy.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest udostępniony na licencji [Licencja Wolnej Sztuki 1.3](#).

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#).

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sommer-pamiatki-po-nas/>

Tekst opracowany na podstawie: Piotr Sommer, *Po ciemku też* (wiersze z książek), Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2013.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-5238-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).